Zofia Małynicz mówi Norwida

665

Zofia Małynicz (fot. Franciszek Myszkowski)

BARBARA OSTERLOFF

Cała nasza godność spoczywa tedy w myśli. Z niej trzeba nam się wywodzić, a nie z przestrzeni czasu, których nie umielibyśmy zapełnić. Silmy się tedy dobrze myśleć: oto zasada moralna.

Blaise Pascal

Obchodzone niedawno stulecie śmierci Norwida prowokowało do pytań o żywotność jego spuścizny. Dla teatru odpowiedź nie wypadła korzystnie. Nadal dramaty Norwida wystawia się bardziej z poczucia kulturalnej powinności niż autentycznej potrzeby; nadal przysparzają kłopotu, nielicznym zresztą inscenizatorom. Mimo pewnej tradycji scenicznej, nie istnieje styl Norwidowski ani w reżyserii, ani w aktorstwie. Mieliśmy jednak i mamy aktorów jakby specjalnie do Norwida predestynowanych. Choć częściej chyba w roli interpretatorów jego poezji, niż odtwórców postaci dramatów.

Telewizyjny Teatr Małych Form przypomniał, że wybitne pośród nich miejsce zajmuje Zofia Małynicz. Skromny, bo niespełna półgodzinny program w jej wykonaniu okazał się nie tylko popisem wirtuozerskim słowa poetyckiego, ale czymś więcej — bardzo osobistą summą, artystycznym wyznaniem wiary w moc Norwidowej poezji. Osobistą, bo popartą wieloletnią fascynacją i zżyciem się z twórczością Norwida, którego liryką zajmowała się aktorka (m.in. z inspiracji Wilama Horzycy) jeszcze w czasach przedwojennych, jako uczestniczka audycji poetyckich i pedagog, ale i później. A ponadto — zbudowaną na własnym wyborze wierszy (co ciekawe, w większości pochodzących spoza kodeksu *Vade—mecum*, uznawanego za szczyt tej poezji). W programie zmieściło się trzynaście wierszy. Od wczesnego *Pióra* poczynając, przez m.in. *Pierwszy list, co mnie doszedł z Europy, Wielkość, Coś ty Atenom zrobił, Sokratesie, Ty mnie do pieśni pokornej nie wołaj, Improwizację na zapytanie o wieści z Warszawy, Amen* i *Moją piosnkę (I)* po *Kółko*. Wiersze te nie zostały uporządkowane w układzie chronologicznym, lecz inaczej. Ułożono je według dość przejrzyście rysujących się motywów. Klamrę stanowiła sytuacja artysty rzucającego społeczeństwu wyzwanie prawdy. Przy czym, rzecz ciekawa, w takim układzie zaznaczyły się tematy oraz idee, które badacze Norwida uznają za pierwszorzędne w jego twórczości. A więc — jednostka i zbiorowość, artysta i społeczeństwo, Polska wobec Europy (opozycja rodzimość — kosmopolityzm), a także historia w wielu aspektach. Natomiast niemal zupełnie wybór ten wyeliminował motywy miłosne i salon, tak znamienny jako figura współczesnej poecie kultury społecznej i obyczajowej.

Pojawiły się jednak w tym wyborze inne, charakterystyczne dla poezji autora *Czarnych kwiatów* cechy. Przede wszystkim specyficzny zabieg konstrukcyjny, polegający na udramatyzowanym dialogu, który podmiot liryczny prowadzi z wirtualnym słuchaczem, odbiorcą. „W utworach Norwida — pisał Zdzisław Łapiński — miejsce wyznaczone słuchaczowi jest miejscem współuczestnika w poznawaniu świata. Kompozycja utworu ma oddać rytm dochodzenia do prawdy (...) Formułowanie prawd napotyka na opór. Jest to opór, jaki stawia złożoność i głębia najbłahszych nawet zjawisk i jest to opór naszej własnej woli, cofającej się przed trudem nie tylko poznawczym, ale i moralnym." Ten cytat idealnie wprost przystaje do sposobu, w jaki Zofia Małynicz interpretowała Norwida. Każdy z jego wierszy urastał w mikrodramat myśli, angażujący uwagę słuchacza swoją jasnością i logiką. Nie było w tym niczego z nadmiernej ekspresji, cienia histerii, choć niektóre z utworów niosły konstatacje gorzkie, bo wciąż żywe. Siwa, dostojna pani, siedząca niemal bez ruchu w fotelu, podkreślała je chwilami mocniejszym tonem ironii, rzadko — wyrazistym gestem (jak podniesienie rąk w górę w *Częstochowskich wierszach*), a właściwie raz tylko — silnym natężeniem głosu, mocno zabarwionego emocją (*Moja piosnka*).

Trzeba przyznać, że realizatorzy tego programu, z reżyser Anną Minkiewicz i scenografem Markiem Lewandowskim na czele, zrobili niemało — by nie przeszkadzać aktorce w tym popisie opanowania środków wyrazu i tajemnic Norwidowej poezji. Był on świetnie zaaranżowany w przestrzeni, w miarę nastrojowy, dynamizowany nienatrętnie, z zachowaniem płynności zmian ujęć i ruchów kamer. Aż chciałoby się powiedzieć — taktownie i kulturalnie, gdyby nie brzmiało to jak wątpliwy komplement (może tylko muzyka nazbyt „śliczna", ale tu czepiam się drobiazgów).

Emitowano jednak ten koncert aktorski w późny, marcowy wieczór, na szarym końcu programu TV. A zasługiwał przecież na znacznie bardziej godną porę i miejsce. Nie po raz pierwszy tak się stało i, zapewne, nie po raz ostatni. Doprawdy, trudno pojąć kryteria, wedle których telewizyjni decydenci jeden program uznają za wart licznego audytorium, a drugi skazują na wąskie grono najbardziej wytrwałych (czas emisji ma znaczenie!). Można się tylko domyślać, że kryteria te oparte są na kwalifikacjach w rodzaju „trudne" czy „elitarne". Tymczasem Teatr Małych Form przygotował rzecz wartą jak najszerszej popularyzacji, w pewnej mierze wzorcową i jednocześnie — niepowtarzalną.

Zofia Małynicz stanęła obok wielu innych sojuszników poezji Norwida, którzy potrafili odsunąć od niej obiegowe już pomówienie „on skarży się na ciemność mej mowy"... ■